ROZMAITOŚCI.

Dnia 17. Października. № 42. Roku 1855.

RAFAEL I FORNARINA.

Z francuskiego pana Méry.

(Dalszy ciąg. Ob. Nr. 37. 38. 39. 40. 41. Rozmaitości.)

11.

L'osteria delle Infanti.

W gospodzie zastali już liczne zgromadzenie, gdy przybyli Paolo i Antonio. Po wszystkich stołach miliły się pękate oplatanki o wązkiéj szyjce, z nich wina, Orvietto i Montefiascone słodkawe a kwąskie, pieniły się w kuflach, i najniemowniejszym rozwiązywały języki tak że gospodarz ulegał pod rozkazami chcąc każdemu dogodzić.

Przewódzcą wszystkich zdawał się być Giaccomo, rozpoznać go było łatwo z postawy i powagi.

Siedział przy stole osobnym i rozmawiał z cicha z przyjaciołmi malarzami i usznycerzami, zapewne o nadchodzącéj uroczystości w Baccano. Wszyscy inni jakby z uszanowania siedzieli w dali, nie chcąc ubliżać swobodzie jego.

Z dawnych-to jeszcze Rzymian typ w nim: wspaniała broda czarna jak heban uwydatniała twarz męską i silne rysy, a włos długi kędzierzący się niedbale ku ramionom jeszcze ją upiększał. Z-pod jedwabnych pończoch spiętych pod kolanami odskakiwały muszkuły jak prądy widoméj siły i zręczności w tych nogach, na których bogowie osadzili ciało Apolina.

Więc pewny-ś twojéj Saltarelli? zapytał Giaccoma któryś z przyjaciół.

Sam osądzisz, sprobuję zaraz; a napisał mi do niéj muzykę mnich jeden, za to-m wymalował mu Madonnę z winogronem. Muzyka prześliczna.

Ah! więc-to po mnichu będziesz tańczył?

Czemuż nie? alboż u niego nogi zdrętwiałe? Mnich bracie jak się usadzi, nas wszystkich przeprze.

Zobaczymy.

Zobaczycie czego mię nauczył. Hola! gospodarzu podaj mandolinę, co tam tęschni na kołku!

Gospodarz podał, Giaccomo zaczął stroić właśnie gdy wchodzili Paolo i Antonio Vanozzi.

W czas przybywasz, mówi Giaccomo; chwilka, byłbym zaczął bez ciebie.

Dwaj przyjaciele przywitali się, Giaccomo wystąpił na środek sali, a Paolo z Antonim przysiedli się gdzie wprzódy Giaccomo siedział.

Zaraz po piérwszéj przygrawce na Mandolinie ucichły rozmowy gości, twarze pozwracały się na Giaccoma w ciekawéj obawie ażeby oko nie straciło i jednego wiotu z ruchów swobodnych i wdzięcznych, jakie południowiec w zapale tanecznym do miary składać, a czerpać umie w własném tylko natchnieniu z genialnego pomysłu lub z zapamiętałości uczucia. Mandolina służy za miarę na pospiech lub na zwolnienie kroku; a że tańczący sam sobie na niéj przygrywa, miara idzie po jego własnéj woli, za jego popędem, za uniesieniem chwilowém; i dla tego taniec południowca staje się obrazem toku uczuć, jest wysłowieniem jakiegoś zdarzenia, jakiejś historyi w chwili powziętéj i wykonanéj, odmiennie od nas co się z cudzéj nauki popisujemy. My tańczymy, jak gdybyśmy deklamowali wiersz cudzy; południowiec jak gdyby improwizował poemat z natchnienia. Pod wpływem wrażeń obecnych rozgrzéwa się serce, podsyła chęci coraz nowe, bądź chluby, bądź tęschnoty, bądź żalu, nienawiści, gniewu, uniesienia, albo téż miłości, uciechy, radości; umysł rozpalony zmyśla przygodną scenę, a ruchem do niéj przypożyczonym rozwija cały obraz zdarzeń domyślnych. Saltarella Giaccoma uobecniła widzom pamięć igrzysk, rozrywek, i zabaw odpustowych w Baccano, dziewcząt zalotność, trwożliwość, ponętę, mężczyzn zabiegi, natarczywość, uległość, psoty nawet i zdrady i pomsty z zawiści, bez któréj by u Włocha miłość nie żyła.

Skończył; cała gospoda zabrzmiała w oklaskach i stawiała widok nowego szału jaki zwykle za upojeniem idzie, a u południowca więcéj niźli gdzie indziéj. Osobliwie marynarze nie mogli się uspokoić, i gdyby tak w polu, uwieńczaliby Giaccoma kwiatami i obnosili na rękach.

Przyjaciele powitali winem, a Antonio podając kielich mówi do niego:

Bracie! taniec twój zawróci głowę najstateczniejszą. Szczęśliwa ta dziewczyna, co z tobą do tańca stanie! Wychyl! a twoich miłostek niech Bóg ochrania.

Chowaj nas wszystkich Boże, odpowiedział Giaccomo, przyjął kielich wdzięcznie i wychylił do dna.

Chwilka poźniéj, roztoczyły się rozmowy zwykłe między biesiadnikami, słówka poufne, żarty, pozorne przymówki, dowcipu igraszki, pod powłoką których umysł rozweselony odmyka zaklucze tajemnic duszy, i wyświeca równie najskrytsze chęci, jak najserdeczniejsze pielonki myśli. Godzina nocna swą omdlałością sprzyja im, zwabia i otula jak spłoszone dziatki po natężeniach dziennych przy pracy.

Wokoło Giaccoma wszczęły się rozprawy miłośne, przedmiot ulubiony swawolnéj wesołości Włocha.

Co do mnie, mówi Antonio Vanozzi, nie pojmuję przeszkody ażeby dwa ser-

ca rozkochane nie mogły się zbliżyć i połączyć. Życie jest miłość, kto się w niém opamięta nie może i miłości przepomniéć, dojdzie do mety koniecznie, byle się szczerze podał natchnieniu.

Prawda by-to była, mówi Paolo, gdyby się zajęły dwa serca o jednym czasie, i z równą siłą; czego po naszych miłostkach ani się spodziewać. Między nami zawsze któreś z nas kocha, a drugie tylko z pustoty zezwala.

Bywa tak, mój Paolo, ale przyznasz także że szczéra miłość z czasem i obojętnych przeniknie, zwłaszcza jeźli stateczna i wytrwała.

Młody-ś Antonio, młody-ś, chowaj wiarę twoją, ja już ronię z niéj listek po listku.

Nie udawałbyś starego, mój Paolo, znam ja cię lepiéj.

Broń Boże! ale coś ty powiedział, mnie się wydaje jak ze snu; prawdziwie.

Więc ty nie wierzysz w pociąg miłości i w ponęt wzajemny?

Jak mogę, kiedyśmy dziś wieczór wszyscy byli świadkami. Sam powiedz, jest téż kto w świecie godniejszym kochania jak nasz Rafael? a potrzeba było aż rozkazu Ojca świętego ażeby Fornarinę przywieść do Borgo nuovo. Przecież ona poznawała jego szczerą miłość, widziała gorące zapały naszego mistrza, patrzała na łzy i błagania jego, a jednak serce jéj uparło się i nic nie przemawiało.

Antonio zamilkł; czuł że jedno słówko wyrzeczone w téj chwili, było by go wydało swém drzeniem, a może i odkryło całą tajemnicę w któréj chował swoją namiętność. Paolo, niechcący dotknął w nim boleśnéj rany, i rozruszył żale nieukojone. Dopiéro po chwili mówi z udaną spokojnością:

Więc ty sądzisz Paolo, że Fornarina nie kocha naszego mistrza?

Któż-to wié? W tych rzeczach nie można pochopnie sądzić, zwiódłby się człowiek. Może wieczór szaleje za nim, chociaż go rano ani cierpiała.

Mądry ty Paolo, gadasz jak z książki, przydał Giaccomo, który potąd milcząc przysłuchiwał się rozmowie obudwu przyjacioł. Serce kobiéty to księga, jak watykańska biblioteka, żywa dusza jéj nie przeczyta. Coś tu znalazł na jednéj karcie, jutro już tego nie odszukasz, coraz coś nowego.

Opowiadali mi, mówi Antonio, moi koledzy w Wenecyi, gdziem się ćwiczył w malarstwie nim tu do Rzymu przybyłem, pewną historyjkę, którą i wam powtórzyć muszę. A także przygoda miłośna.

Słuchamy cię Antonio, zawołali jednogłośnie koledzy.

Pewna dama, znakomita rodem i wychowaniem, a bogata, do tego młoda i piękna, zakochała się w artyście, prawda że bardzo pięknym, a przytém i najświetniejszym swojego czasu. Była zamężna, i wezwała artystę do siebie pod jakimś pozorem, bo o pozory nie trudno jak wiecie. Artysta nie przyszedł. Ona tedy uchodzi z domu, zabrała klejnoty swoje, zaopatrzyła w skarby; dla niepoznania przebiera się w męz-

kie suknie, przez różne sposoby przeciska się aż do niego, i dokazuje że go codzień widzieć może. Jak myślecie co z tego było?

Sam powiedz; była by to zagadka nie historya, gdybyśmy sądzili.

Artysta, mówili mi, ani przeczuwał tego serca, co przed nim omdlewało; owszem kochał się w innéj, a kochał jak artyści umieją, całą duszą, że tylko jéj tchnieniem oddychał. A ona niewdzięczna, czy go nie chciała kochać, czy cenić nie umiała, dosyć że tylko z przymusu poszła za niego. Możecie sobie wystawić jaka zawiść opanowała tamtą szczerą kochankę, gdy postrzegła jakąś zawłokę w posiadaniu jedynego dobra na świecie, a ceny jego nie czuła. Wyszła z domu, nie wiem czyli w rozpaczy, ale wiem że nic stanowczego nie przedsięwzięła.

A cóż potém zrobiła? zapytali koledzy.

Co zrobiła, tego nie wiem; końca nie było kiedym z Wenecyi wyjeżdżał; ciekawi tam byli wszyscy co z tego będzie.

Żartujesz z nas Antonio; nasuwasz zagadki, nic więcéj.

Więc zgadujcie! Cóż by wy zrobili przy jéj zawiści?

To się nie da powiedzieć; babą z nas nikt nie był. Alboż wiemy co po ich głowach chodzi kiedy są zakochane, i co się w ich sercu dzieje kiedy się zejdą z rywalką? o tém one same tylko sądzić mogą.

A mnie się zdaje, mówi Paolo, że owa w pożyczonéj barwie kobiéta nie ma prawa narzekać na artystę. Ile widzę, artysta ani wiedział o jéj poświęceniach, jakżeż mógł się do niéj przychylić.

Prawdę mówisz Paolo, ona nie miała śmiałości jeszcze odkryć się artyście.

Więc tu winy niema; godzi się ubolewać nad jéj nieszczęściem, lecz jéj zawiść mogła by tylko litość ubudzać.

Tymczasem dobrze się już pod noc zaniosło, i w ulicach światła poprzygasały, goście się zaczęli rozchodzić i rozmowa ostygać; więc téż i koledzy ruszyli się ażeby jeszcze w spoczynku kilkugodzinnym zaczerpnąć nowych sił do prac jutrzejszych.

Po wzajemném „Dobranoc“ rozchodząc się, rzekł jeszcze Giaccomo:

A kiedyż koniec twojéj historyi? Vanozzi.

Wkrótce, — czekam tylko na list z Wenecyi, odpowiedział Antonio; ale w duszy myślała Vanozza: — czekam, co mi podmawia zawiść, a zręczna sposobność dokona; — w tém téż przedsięwzięciu wróciła do siebie, lecz co właściwie począć sama nie wiedziała jeszcze. Za gwałtownym ulegała jeszcze wzruszeniom, by myśl mogła już zimnych obmyślać środków, a wybór u kobiét idzie gdy się namiętność już ustatkuje.

(Dalszy ciąg nastąpi.)

WYBORNY INTERES.

Zdarzenie mające pretensyą do rzeczywistości.

W jednéj z najpiękniejszych okolic Paryża, pan L. bogaty kapitalista posiadał piękny zamek, w którym zwykł był najpiękniejsze miesiące wiosny i lata przepędzać.

Pewnego dnia, w czasie jego tamże pobytu, przed bramą parku stanął kabryolet, i wysiadł z niego młody człowiek, którego ubior staranny, fizyognomia otwarta, i ruchy swobodne, kazały się od razu domyślać bywalca na giełdzie i u Tortoniego. — Przybyły zadzwonił, kazał się meldować, i został przyjęty. Pan L. w szlafroku i w pantoflach, niedbale rozciągnięty na sofie, używał w najlepsze wiejskiego *dolce far niente*, wśród pokoju przybranego z całym przepychem i zbytkiem stolicy; bo pan L. mało czuł pociągu do sielanki w ścisłém znaczeniu — i owszem sądził, że na wsi jeszcze bardziéj niż w mieście niepodobna obejść się bez owych wygódek, i tego konfortu, które mnożąc wrażenia zmysłowe rozszerzają niejako sferę naszéj egzystencyi.

— Bądź pan łaskaw usiąść — rzekł pan L. z wewnętrzném rozweseleniem, jakie w nim zrodził widok Paryzanina na wsi.

— Darujesz pan, rzekł młody człowiek, siadając na fotelu, że przychodzę zamącić jego wiejskie zacisze spekulacyjnemi propozycyami. Lecz interes który chcę panu zakomunikować jest tak ważny, — skutki jego mogą być tak pożyteczne społeczeństwu, i mogą zapewnić tak znakomite zyski pieniężne przedsiębiorcom, że sądzę iż pan przebaczysz mojemu natręctwu, i zechcesz mi łaskawie udzielić kilka chwil rozmowy.

— Mów pan, słucham go chętnie, odrzekł kapitalista, zakładając nogę na nogę, i obrzucając się z godnością szlafrokiem w wielkie, wzorzyste desenie.

— Ktoby to był przewidział, że wyszedłszy z wieku zwątpienia i niepewności, jakim był wiek ubiegły, wejdziemy w wiek tak dalece *zabezpieczający* i *zabezpieczony* jak ten, w którym żyjemy?... rzekł młody przemysłowiec z solenną powagą. W XVIII wieku burzono wszystko, bo o wszystkiém wątpiono — w XIX nie wątpimy o niczém, bo nic nie zostawiamy na wolą wypadków. — Ta reorganizacya społeczeństwa dzieje się widocznie za pomocą wzajemnych *zabezpieczeń*. Dzisiaj ludzie giełdy rządzą przeznaczeniem jak Bóg rządzi światem. Cóż się dziś nie *zabezpiecza?* Można *zabezpieczyć* każdy krok w życiu naszém, a nawet śmierć samą. Potęga *asekuracyi* rozciąga się nawet po za groby — stawiając zmarłym pomniki, które im zabezpieczają wieczne życie — w pamięci rodaków, przyjaciół. W téj chwili jest właśnie w trakcie zawiązania się *Towarzystwo zabezpieczeń* przeciwko nieprzyjemnościom związków małżeńskich; jeżeli przyjdzie do skutku, będzie to wielka przysługa dla ludzkości. Rzymianie, którzy wyznaczali nagrody dla wstępujących w stan małżeński, nie rozumieli zupełnie cywilizacyi; — jeżeli chcemy aby ktoś zrywał róże, odejmyż im wprzód kolce, albo przynajmniéj *zabezpieczmy* mu palce przeciw ukłuciu. Jedném słowem — *asekuracya*, jeżeli ją weźmiemy we wszystkich jéj przemianach i odcieniach, jest według mnie najwyborniejszém rozwiązaniem zagadnienia ludzkości — rozwiązaniem, o które napróżno kusili się Fourrier, Saint-Simon, Robert Owen i tylu innych socyalistów.

— Dokąd pan zmierzasz tą przemową — przerwał kapitalista głosem suchym i metalicznym, jak brzęk stofrankowego rulonu rzuconego do worka.

— Pozwól pan, tylko chwilkę....

— Trzeba panu wiedzieć, że interes do którego jabym miał przyłożyć rękę, musi mieć korzyści rzeczywiste — widoczne — do-

tykalne; mówił dalej kapitalista, coraz większy przycisk kładąc na każde słowo.

— Właśnie mój projekt łączy w sobie wszystkie te przymioty.

— A więc, bez dalszych wstępów, powiedz mi pan krótko o co rzecz chodzi.

— Widzisz pan, kiedy to jest rzecz delikatna, która potrzebuje pewnego przysposobienia....

— Domyślam się, iż to będzie projekt *asekuracyi*; co pan zatém chcesz *asekurować?*

— Ponieważ tego pan żądasz, jest to po prostu projekt *zabezpieczenia* młodych osób, przeciw temu, co częstokroć stanowi nieszczęście całego ich życia — to jest przeciw mimowolnemu celibatowi.

— Humm! mruknął kapitalista, naciągając na kolana poły szlafroka, które przy żywszém poruszeniu były opadły, jest to myśl wcale dowcipna...

— Pojmujesz pan, że chęć dostania męża, pobudzi do *zabezpieczenia* się wszystkie panny — i że przedsiewzięcie osiągnie w krótkim czasie wielkie korzyści.

— Dobrze — to pojmuję, ale jak pan urządzisz stosunek wynagrodzenia?

— Wynagrodzenie musi być stopniowane odnośnie do piękności, majątku i talentów *asekurowanéj*. Można asekurować jedne do dwudziestu lat, drugie do dwudziestu pięciu, inne do trzydziestu, a nawet do trzydziestu pięciu. Jeżeli po upływie oznaczonego czasu, *asekurowana* nie wyjdzie za mąż, dostanie wynagrodzenie, które stanowiąc pewny posag, może jéj pomódz do znalezienia męża choć późniéj.

— I to dobrze, — ale czy Towarzystwo będzie miało prawo użyć wszelkich środków jakie uzna za stosowne, aby *zabezpieczona* wyszła za mąż przed oznaczonym terminem?

— Ma się rozumieć, że towarzystwo zastrzeże sobie przywiléj robienia ludzi szczęśliwymi; będzie miało wszędzie swoich agentów, i używać będzie wszelkich możebnych sposobów, do wydania za mąż swoich *asekurowanych* przed terminem. Tym sposobem nie będzie potrzebowało prawie nigdy płacić wynagrodzeń — i dla tego to właśnie interes ten jest doskonały.

— Tak — przedstawia on pewne korzyści....

— Korzyści wielkie a strat żadnych! — Bo jeżeli się np. *zabezpiecza* od śmierci, niepodobna zabronić ludziom umierać; jeżeli się zabezpiecza od ognia, niepodobna przeszkodzić, aby się domy nie paliły; jeżeli się zabezpiecza od burzy morskiéj, niepodobna uchronić wszystkie okręta od rozbicia; gdy tymczasem *zabezpieczając od celibatu*, można ludzi żenić. To jest według mnie, najwyższy kres postępu spekulacyjnego.

Ma się rozumieć, że towarzystwo będzie miało zawsze pod ręką zbiór ludzi przyzwoitych, adwokatów, doktorów, dziennikarzy, kupców, przemysłowców i t. d., którémi posługiwać się będzie niby pionami, w grze swojéj, aby zamatować serca *zabezpieczonych...*

A naturalnie — jest to niezbędny warunek, — i pod tym względem, możesz się pan zupełnie spuścić na mnie.

— A więc masz pan moją rękę. Niech ten interes zostanie między nami dwoma; tylko żadnego hałasu, żadnego szarlatanizmu, żadnych akcyi; to się już zużyło i najgorsze robi wrażenie. Tajemnica, mój kochany, sekret i czynność, to są środki które nas doprowadzą do celu.

— Możesz pan być spokojny — mam w tém taki sam jak i pan interes.

— A więc zechciéj mi pan przynieść akt organizacyjny Towarzystwa. Ja daję pięćkroć sto tysięcy franków, summę dostateczną na początek. Pan ze swéj strony przyrzeczesz mi swoje gorliwość i pracę. Korzyści do równego podziału. Widzisz pan że wspaniale robię interesa.

Młody człowiek, pożegnał pana L. nadzwyczajnie uradowany ze swojéj wizyty, wsiadł

lekko do swego kabryoletu i pojechał do Paryża. Nazajutrz przywiózł kapitaliście akt zawiązania Towarzystwa, sporządzony wedle wszelkich zasad i formalności. Przeczytawszy go i podpisawszy pan L., oddał go młodemu człowiekowi i rzekł:

— A zatém, witam pana jako Dyrektora Towarzystwa *Hymenu;* życzę panu wszelkich pomyślności, a na dowód szczerości moich życzeń, asekuruję najprzód moją córkę. Chcę żeby była piérwsza na liście *zabezpieczonych*. Zapełń pan od razu rubryki.

— Wiek? zapytał dyrektor.

— Dziewiętnaście lat.

— Imię i nazwisko?

— Eufemia L.

— Twarz?

— Dosyć ładna.

— Talenta?

— Muzyka, rysunek, taniec, ogrodnictwo.

— Majątek?

— Pięć kroć sto tysięcy franków posagu, a milion po mojéj śmierci.

— Bardzo dobrze panie dobrodzieju!

— Oznacz pan sam wysokość wynagrodzenia, wiek, po którego upłynieniu, wynagrodzenie ma być wypłacone, — rzekł papa dumnie.

— Mam wszelką nadzieję, że nie będziemy zmuszeni wypłacać wynagrodzenia pannie Eufemii.

Młody przedsiębiorca pożegnał swego nowego wspólnika i wyszedł. Gdy przechodził przez dziedziniec zamkowy, dążąc do kabryoletu, który nań czekał u bramy parku, spostrzegł młodą panienkę, w białéj sukni, z ogrodniczą konewką w ręku biegającą śród kwiatów, na które rozlewała deszczyk drobniuchny i błyszczący do słońca, i śpiewającą jakąś piosnkę. Pukle jéj ciemnych włosów, podniesione lekkim wiatrem, pozwalały widzieć szyję, bielszą niż goździki które podlewała. Jéj smukła kibić gięła się lżéj i rozkoszniéj niż łodygi jéj kwiatków, które gasiła swoją pięknością. Na ten widok przemysłowiec rzekł sam do siebie: „To zapewne córka pana L... Gdyby mi się udała jedna rzecz która mi na myśl przyszła w téj chwili, zrobiłbym wyborny interes; *nie traćmy nadziei!*“ I idąc ku bramie parku, rzucił na dziewczynę spojźrzenie pełne znaczenia.

Zaledwie pietnaście dni od téj chwili minęło, pan L. porzucił już wieś, i zamieszkał w Paryżu, w hotelu swoim na Chaussée d'Antin. Stało się to na prośby jego córki. Pan L. dziwił się niezmiernie, że jego najdroższa Eufemia która przedtém tak lubiła wieś i kwiaty, teraz, tak nagle powzięła do nich wstręt widoczny, i tylko za miastem tęschniła, chociaż piękne dni lata, długie jeszcze na wsi obiecywały przyjemności. Chciał koniecznie odkryć powody téj szczególnéj zmiany, i nieraz mówił sam do siebie: „Czyżby Eufemia od czasu jak została *zabezpieczoną* przeciw celibatowi, miała powziąć rzeczywiście jaką skłonność w Paryżu?“

Wreszcie niemógł dłużéj wątpić, że serce córki zostało zajęte. I nie trzeba było wielkiéj przenikliwości, żeby to odgadnąć, bo rumieńce i wesołość dzieweczki codzień niknęły, i smutna Eufemia więdniała trawiona wewnątrz boleścią, któréj wyznać nie śmiała. Porzuciła wszystko: kwiaty, fortepian, ołówki, a od czasu do czasu mimowolna łza zdradzała jéj wzruszenie i pragnienia niepewne. Ale kogóż ona mogła pokochać? Jak się wszczęła ta namiętność? W tém była jakaś tajemnica.

Pan L. gubił się w przypuszczeniach — a ponieważ niezmiernie kochał swoją córkę, postanowił zapobiedz złemu stanowczo.

— Moja kochana Eufemio, rzekł tedy jednego razu, od jakiegoś czasu stałaś się bardzo poważną; o czém się ty tak zamyślasz? Czyżby jakie nowe uczucie wśliznęło się do twojéj duszy? Mów ze mną bez bojaźni; wiesz przecie, jak cię kocham! Może ci się podobał jaki młody człowiek? Może chcesz pójść za mąż?... Jeżeli tak, i jeżeli to tylko jest stosowna dla ciebie partya, to bądź pe-

wna, że byłbym najszczęśliwszy, gdybym cię mógł połączyć z tym, w którym widzisz swoje szczęście!...

— Rzeczywiście, kochany ojcze, wyznaję ci że kocham, — odpowiedziała Eufemia z tą nieśmiałością i zakłopotaniem, jakie zwykły towarzyszyć podobnemu wyznaniu młodéj panienki, chociażby to było wyznanie przed ojcem.

— A jakże się nazywa ten, którego kochasz? rzekł pan L., kontent, że się nakoniec dowié tego, czego pragnie.

— To jest jego tajemnicą, równie jak i moją; odpowiedziała spokojnie Eufemia. Nie mogę nią rozporządzać bez jego zezwolenia. Pozwól zatém ojcze, że zamilczę jego imię, dopóki on sam....

Takie wzbranianie się podnieciło tylko ciekawość pana L., gdy więc zaczął nalegać na córkę, aby mu powiedziała nazwisko tego, kogo kocha, rzekła Eufemia: — Daruj mi, drogi ojcze, jeszcze trzy dni; — w przeciągu trzech dni powiem ci wszystko.

Nazajutrz po téj rozmowie, dyrektor nowego *Towarzystwa Zabezpieczeń od celibatu*, przyszedł odwiedzić swego wspólnika, właściciela kapitału zakładowego.

— A! dzień dobry mój kochany, zawołał pan L. zaledwie go spostrzegł, niezgadłbyś nigdy...

— Co takiego?

— Moja córka poczyna już doświadczać tkliwych uczuć...

— To zapewne skutek aseknracyi.

— A! to jest skntek prawdziwie cudowny! Ledwie miesiąc upłynął, jak jest *zabezpieczona!*... Doprawdy, pan jesteś szczęśliwy człowiek!..

— Zaprawdę, los nam dobrze posłużył.

— Jeszcze jeden taki przypadek, a interes nasz pójdzie ogromnie!...

Rozmawiali jeszcze dłużéj w ten sposób, gdy wtém weszła Eufemia, a spostrzegłszy młodego dyrektora, zarumieniła się mocno.

— To moja córka — rzekł pan L. — jak ją pan znajdnjesz?

— Wybornie! I ręczę, że córka pańska nie skończy lat dziewietnastu, a....

— Mój ojcze, rzekła Eufemia, patrząc z kolei na obudwu rozmawiających, przyrzekłam ci wyjawić tego, kogo kocham!.... otóż to właśnie on!...

— Czy podobna! zawołał osłupiały pan L.

— Wedle naszych statutów, rzekł poważnie młody dyrektor — obowiązkiem moim było starać się, aby oznaczony czas nie npłynął, bez....

— To prawda! Ale proszę cię Eufemio, jakeś ty poznała tego pana?

— Obowiązkiem moim było przedsięwziąć wszelkie środki możebne, ażeby....

— Piérwszy raz ujżrzałam go na wsi — ale tylko w przechodzie. Potém, przyjeżdżał codzień, pomagał mi skrapiać kwiatki, — wzbogacił moje album pięknemi szkicami i pisał do mnie wiersze; nareszcie, ponieważ wizyty jego zdały mi się za krótkie, pomyślałam, że w Paryżu będę go mogła widywać dłużéj i częściéj....

— W największéj tajemnicy, aby....

— Wiesz co, mój kochany dyrektorze, bardzo zręczny z ciebie człowiek! zawołał pan L. jakby oszołomiony tém co słyszał.

— Darujesz pan, ale ja spełniłem tylko mój obowiązek.

— Ha! niema co mówić! Moja córka kocha pana, więc oddaję ci jéj rękę. Co do posagu, dostałeś pan jnż pięćkroć sto tysięcy franków.

— Otóż to wyborny, złoty interes! rzekł młody dyrektor biorąc rękę Eufemii. To nam sprowadzi mnóstwo klientów i zyskamy miliony!

Główny Redaktor **M. Szrzeniawa Sartyni.** *Z c. k. galicyjskiéj drukarni rządowéj.*